
JACK REACHER

LEE
CHILD

W TAJNEJ SŁUŻBIE

Ta seria jest po prostu świetna.

„The Washington Post”



ALBATROS

1

Dowiedzieli się o nim w lipcu. Przez cały sierpień byli wściekli, we wrześniu próbowali go zabić. Zdecydowanie za wcześnie, nie byli gotowi. Próba zakończyła się fiaskiem. Mogło dojść do katastrofy, ale zdarzył się cud, bo nikt niczego nie zauważył.

Posłużyli się tradycyjną metodą, by oszukać ochronę, i zajęli pozycję trzydzieści metrów od miejsca, w którym miał przemawiać. Użyli tłumika i chybili o parę centymetrów. Pocisk musiał przelecieć mu tuż nad głową, może nawet przez włosy, ponieważ cel natychmiast podniósł rękę i przyglądał się je, jakby wiatr wzburzył mu fryzurę. Później oglądali to wiele razy w telewizji. Podniósł rękę i przyglądał włosy. Nic poza tym. Kontynuował wystąpienie, niczego nieświadomy, bo z definicji kula z broni z tłumikiem jest zbyt szybka, by dało się ją dostrzec, i zbyt cicha, by ją usłyszeć. Chybiła zatem i poleciała dalej. Nie trafiła też w nikogo innego za jego plecami, w żadną przeszkodę, budynek – leciała prosto, niestrudzenie, aż wyczerpała się jej energia, a siła ciężenia ściągnęła ją na ziemię wprost na rozległe łąki. Nikt nie zareagował, nikt nic nie zrobił. Zupełnie jakby kuli wcale nie wystrzelono. Nie próbowali drugi raz. Byli zbyt wstrząśnięci.

A zatem klęska i cud, a także nauczka. Przez cały październik działali jak zawodowcy, którymi byli. Uspokajali się, za-

czynali od nowa, rozmyślali, uczyli się, przygotowywali drugą próbę. To będzie lepsza próba, starannie zaplanowana i właściwie wykonana. Połączenie techniki, drobiazgowości i wyrafinowania przyprawionych strachem. Godna próba. Twórcza. I przede wszystkim zakończona sukcesem.

A potem nadszedł listopad i reguły się zmieniły.

• • •

Filizanka Reachera była pusta, lecz wciąż ciepła. Uniósł ją ze spodeczka i przechylił, obserwując spływającą ku niemu resztkę kawy, powolną i brązową niczym muł rzeczny.

– Kiedy trzeba to zrobić? – spytał.

– Jak najszybciej – odparła.

Skinął głową. Wysunął się zza stolika i wstał.

– Odezwę się za dziesięć dni – oznajmił.

– Żeby poinformować o swojej decyzji?

Pokręcił głową.

– Żeby powiedzieć, jak mi poszło.

– To akurat będę wiedziała.

– No dobra, w takim razie, żeby powiedzieć, gdzie masz wysłać pieniądze.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Spojrzał na nią.

– Sądziłaś, że odmówię? – spytał.

Uniosła powieki.

– Sądziłam, że trudniej cię będzie przekonać.

Wzruszył ramionami.

– Tak jak mówił Joe, uwielbiam wyzwania. Joe zwykle miał rację w takich sprawach. Zwykle miał rację w wielu sprawach.

– Teraz nie wiem, co powiedzieć. Chyba powinienam podziękować.

W milczeniu odwrócił się do wyjścia, w tym momencie jednak wstała, zastępując mu drogę. Przez chwilę trwali bez ruchu, skrzepowani, uwięzieni za stolikiem. Wyciągnęła rękę,

a on ją uściskał. Przytrzymała ją ułamek sekundy dłużej, a potem wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Usta miała miękkie, ich dotyk palił niczym uderzenie prądem.

– Uścisk dłoni nie wystarczy – powiedziała. – Zrobisz to dla nas. – Urwała na chwilę. – A poza tym o mało nie zostałeś moim szwagrem.

Reacher milczał, skinął tylko głową i szurając nogami, wy dostał się zza stołu. Raz jeden obejrzał się za siebie, a potem wyszedł po schodach na ulicę. Na jego dłoni pozostał ślad jej perfum. Reacher poszedł do kabaretu, zostawił w garderobie list do przyjaciół, następnie ruszył w stronę autostrady. Miał dziesięć dni na to, by znaleźć sposób zabicia czwartej najlepiej strzeżonej osoby na świecie.

• • •

Wszystko zaczęło się osiem godzin wcześniej. Było tak: szefowa zespołu M.E. Froelich przyszła do pracy w poniedziałkowy ranek trzynastcie dni po wyborach, godzinę przed drugą naradą strategiczną, siedem dni po tym, jak ktoś po raz pierwszy wymówił słowo „zamach”, i podjęła ostateczną decyzję. Natychmiast ruszyła na poszukiwanie swojego bezpośredniego przełożonego. Znalazła go w pokoju sekretarki przed gabinetem. Wyraźnie dokądsz szedł i widać było, że się spieszył. Pod pachą trzymał teczkę, jego twarz miała wyraz mówiący jasno: trzymaj się z daleka. Ona jednak odetchnęła głęboko i dała mu do zrozumienia, że musi porozmawiać natychmiast. Pilnie. Rzecz jasna nieoficjalnie i w cztery oczy. Przystanął na chwilę, odwrócił się gwałtownie i skierował z powrotem do swojego gabinetu. Pozwolił jej wejść do środka, po czym zamknął drzwi – dość cicho, by niezaplanowane spotkanie nabrało nieco spiskowego charakteru, lecz dostatecznie stanowczo, aby nie miała cienia wątpliwości, że zakłócenie porządku dnia bardzo go zirytowało. Zwykłe szczęknięcie zamka niosło ze sobą wyraźną wiadomość wyrażoną w ja-

snym i zrozumiałym języku biurowej hierarchii: oby nie była to strata czasu.

Po dwudziestu pięciu latach pracy był weteranem i szybkimi krokami zbliżał się do emerytury. Przekroczył już pięćdziesiątkę, dawne czasy minęły bezpowrotnie. Wciąż wysoki, wciąż szczupły i umięśniony, szybko jednak siwiał i robił się sflaczały w niektórych miejscach. Nazywał się Stuyvesant. Gdy pytano o pisownię, wyjaśniał nieodmiennie: „Jak ostatni dyrektor generalny Nowego Amsterdamu”, po czym, czyniąc ukłon w stronę współczesnego świata, dodawał: „Jak papierosy”. Przez całe życie ubierał się w klasyczne stroje od Brook Brothers, uważano jednak, iż potrafi dostosować taktykę do okoliczności. A co najważniejsze, nigdy nie przegrał, ani razu, a pracował od bardzo dawna i miewał sporo trudnych chwil. Tym samym w bezlitosnym rachunku organizacji uważano go za dobrego szefa.

– Wyglądasz na trochę zdenerwowaną – zauważył.

– Bo jestem – przyznała Froelich.

Gabinet miał mały i cichy, skąpo umeblowany, bardzo czysty. Ściany pomalowano na biało, wewnątrz oświetlała lampa halogenowa. W jedynym oknie wisiała biała wertykalna żaluzja – do połowy zaciągnięta, przysłaniała szary świat zewnętrzny.

– Czemu się denerwujesz? – spytał.

– Muszę prosić o pozwolenie.

– Na co?

– Na coś, czego chcę spróbować – odparła.

Była dwadzieścia lat młodsza od Stuyvesanta, miała dokładnie trzydzieści pięć lat. Raczej wysoka, ale nie przesadnie: może trzy i pół centymetra więcej niż średnia wzrostu Amerykanek jej pokolenia. Lecz promieniujące z niej inteligencja, energia i żywotność sprawiały, że opisując ją, nikt nie użyłby słowa „przeciętna”. Jednocześnie gibka i muskularna, z jasną połyskującą skórą i błyszczącymi oczami, wyglądała

jak sportsmenka. Włosy miała krótkie, blond i nieco potargane. Sprawiała wrażenie, jakby w pośpiechu wyskoczyła spod prysznicza i przebrała się tuż po zdobyciu złotego medalu na olimpiadzie, najpewniej w jakimś sporcie drużynowym. Zupełnie jakby nie zaszło nic wielkiego, jakby chciała zniknąć ze stadionu, nim zjawią się dziennikarze telewizyjni i zasypią ją pytaniami. W sumie wyglądała na osobę bardzo kompetentną i jednocześnie skromną.

– Co dokładnie? – spytał Stuyvesant.

Odwrócił się i położył teczkę na biurku. Wielki mebel miał blat z szarego sztucznego kamienia – przykład nowoczesnego mebla biurowego, obsesyjnie czystego i wychuchanego niczym antyk. Stuyvesant słyszał z tego, że nigdy nie zostawiał niczego na biurku. Zawsze było puste. Nadawało to jego gabinetowi aurę niezwyklej fachowości.

– Chcę, żeby zrobił to ktoś z zewnątrz – oznajmiła Froelich.

Stuyvesant ułożył teczkę dokładnie w narożniku biurka i przesunął palcami po krawędzi, jakby sprawdzał, czy dobrze wpasował ją w kąt.

– Uważasz, że to dobry pomysł?

Froelich milczała.

– Przypuszczam, że masz już kogoś na oku.

– Znakomitego kandydata.

– Kogo?

Froelich pokręciła głową.

– Nie powinieneś o niczym wiedzieć. Tak będzie lepiej.

– Polecono go?

– Albo ją.

Stuyvesant skinął głową. Dzisiejsze czasy.

– Czy osoba, którą masz na myśli, została polecona?

– Tak, przez doskonale źródło.

– Z organizacji?

– Tak.

- Zatem już o tym wiemy.
- Nie, źródła nie ma już w organizacji.

Stuyvesant odwrócił się i przesunął teczkę równolegle do dłuższej krawędzi blatu, a potem znów do krótszej.

– Pozwól, że zabawię się w adwokata diabła. Awansowałem cię cztery miesiące temu. Cztery miesiące to bardzo długo. Decyzja o sprowadzeniu kogoś z zewnątrz może świadczyć o pewnym braku wiary we własne siły, nieprawdaż? Co na to powiesz?

– Nie mogę się tym przejmować.

– A może powinnaś. To może ci zaszkodzić. Sześciu facetów chciało dostać tę pracę. Jeśli więc to zrobisz i sprawa się wyda, będziesz miała poważny problem. Przez resztę życia, aż do emerytury, sześć sępów będzie siedziało ci na karku, powtarzając „a nie mówiłem?”. Ponieważ zaczęłaś wątpić we własne umiejętności.

– W takiej sytuacji muszę w nie wątpić. Tak myślę.

– Myślisz?

– Nie, ja wiem. Nie widzę innego wyjścia.

Stuyvesant nie odpowiedział.

– Wcale mnie to nie cieszy – dodała Froelich. – Wierz mi. Ale uważam, że trzeba to zrobić. Takie jest moje zdanie.

W gabinecie zapadła cisza. Stuyvesant nadal milczał.

– Zatem autoryzujesz to? – spytała Froelich.

Szef wzruszył ramionami.

– Nie powinnaś w ogóle pytać. Powinnaś po prostu to zrobić.

– To nie mój styl.

– A zatem nikomu nie mów. I żadnych dokumentów.

– I tak bym tego nie zrobiła. To mogłoby tylko zaszkodzić.

Stuyvesant tylko skinął głową. A potem, jak przystało na biurokratę, którym się stał, zadał najważniejsze pytanie:

– Ile będzie kosztować ta osoba?

– Niewiele. Może nic. Tylko wydatki. Coś nas łączy. Teo-

retycynie. W pewnym sensie.

- To może zablokować ci karierę. Koniec awansów.
- Alternatywa może ją zakończyć.
- Ja cię wybrałem – przypomniał Stuyvesant. – Osobiście.

Zatem wszystko, co zaszkodzi tobie, zaszkodzi też mnie.

- Rozumiem to.
- Odetchnij głęboko i policz do dziesięciu. A potem powiedz mi, że to naprawdę niezbędne.

Froelich skinęła głową. Odetchnęła i milczała dziesięć, może jedenaście sekund.

- To naprawdę niezbędne – powtórzyła.

Stuyvesant wziął teczkę.

- W porządku, zrób to – powiedział.

• • •

Natychmiast po naradzie strategicznej zabrała się do roboty i nagle uświadomiła sobie, że najtrudniejsze dopiero przed nią. Pytanie o pozwolenie wydawało się jej dotąd tak ogromną przeszkodą, że jej umysł uznał je za najtrudniejszy etap całego projektu. Teraz jednak wiedziała, że to nic w porównaniu z odszukaniem celu. Dysponowała jedynie nazwiskiem i bardzo skrótową biografią, która mogła – bądź nie – odpowiadać prawdzie, a w dodatku obejmowała okres sprzed ośmiu lat. Jeśli w ogóle zdoła przypomnieć sobie szczegóły. Kochanek wspominał jej o nich przelotnie pewnego późnego wieczoru, niemal żartem, w łóżku, tuż przed snem. Nie była nawet pewna, czy w ogóle uważnie go słuchała. Postanowiła więc nie polegać na szczegółach. Wystarczy jej samo nazwisko.

Zapisała je dużymi drukowanymi literami na górze żółtej kartki. Przywoływało wiele wspomnień, trochę złych, większość dobrych. Przez długą chwilę się w nie wpatrywała, potem skreśliła je i napisała zamiast tego UNSUB. To pomoże jej się skupić. Nagle cała sprawa stała się bezosobowa, pozwalając umysłowi wrócić do podstawowych zasad szkolenia. *Unk-*

noun subject – obiekt nieznany – to ktoś, kogo należy zidentyfikować i zlokalizować. To wszystko, nic dodać, nic ująć.

Jej główną przewagę stanowiła moc obliczeniowa. Froelich miała dostęp do znacznie większej ilości baz danych niż przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych. Z całą pewnością wiedziała, że UNSUB to wojskowy. Połączyła się zatem z krajową bazą rejestrów wojskowych. Mieściła się ona w St. Louis w stanie Missouri i obejmowała każdego mężczyznę i kobietę, którzy kiedykolwiek, gdziekolwiek służyli w armii amerykańskiej. Froelich wypisała nazwisko i odczekała chwilę. Na ekranie pojawiły się zaledwie trzy odpowiedzi. Jedną wyeliminowała natychmiast dzięki imieniu. Wiem na pewno, że to nie on, prawda? Kolejną wykluczała data urodzenia: o pokolenie za stary. Trzecia zatem to musiał być UNSUB, nie ma innej możliwości. Przez sekundę wpatrywała się w pełne imię i nazwisko, po czym przepisała na kartkę datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego. Następnie kliknęła ikonkę „szczegóły” i wpisała hasło. Ekran zamrugał, po czym na monitorze pojawiła się skrócona historia służby wojskowej.

Złe wieści. UNSUB nie służył już w wojsku. Opis służby kończył się pięć lat wcześniej odejściem po trzynastu latach. Stopień w chwili odejścia: major. Wymieniono też odznaczenia, w tym Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce. Odczytała pochwały, zapisała nieco szczegółów, po czym odkreśliła tę część żółtej kartki wyraźną kreską oznaczającą koniec jednej ery i początek następnej. Znowu zabrała się do dzieła.

Kolejnym logicznym krokiem było przeszukanie indeksu śmierci bazy ubezpieczeń społecznych. Podstawowa zasada: nie ma sensu szukać kogoś, kto już nie żyje. Wpisała numer i uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Szukanie nie przyniosło jednak wyników, UNSUB wciąż żył, przynajmniej według danych rządowych. Następnym krokiem było sprawdzenie Narodowego Centrum Informacji Kryminalnych. Znowu kwestia podstawowych zasad postępowania – nie można za-

angażować kogoś, kto siedział w więzieniu. Nie żeby sądziła, że w przypadku UNSUB było to prawdopodobne, ale nigdy nie wiadomo. Niektórzy ludzie żyją zawsze blisko tej delikatnej granicy. Baza danych NCIK działała wolno jak zawsze, toteż Froelich zgarnęła do szuflad dokumenty z ostatnich dni, wstała i napełniła kubek kawą. Po powrocie znalazła na ekranie wynik przeszukania bazy danych osób aresztowanych bądź skazanych na więzienie. Nic. Wyszukiwanie dostarczyło jednak krótką informację, że UNSUB figuruje w rejestrach FBI. Ciekawe. Zamknęła stronę i zalogowała się do bazy FBI. Szybko znalazła akta i odkryła, że nie może ich otworzyć. Wiedziała jednak dosyć na temat systemu kwalifikacji Biura, by rozszyfrować nagłówki. Zwykłe informacje opisowe, nic więcej. UNSUB nie był uciekinierem, nie poszukiwano go, nie miał żadnych kłopotów.

Zapisała wszystko na kartce, po czym przeszła do ogólnokrajowej bazy Departamentu Pojazdów Mechanicznych. I znów złe wieści. UNSUB nie miał prawa jazdy. Bardzo dziwne i bardzo irytujące. Ponieważ brak prawa jazdy oznaczał brak aktualnego zdjęcia i adresu. Przeszła do komputera administracji weteranów w Chicago i zaczęła szukać po nazwisku, stopniu i numerze. Nic. UNSUB nie odbierał renty, nie podał też adresu kontaktowego. Dlaczego? Gdzie ty, do diabła, jesteś? Wróciła do ubezpieczeń społecznych i wywołała informację o zatrudnieniu. Brak. UNSUB od czasu wyjścia z wojska nie pracował, przynajmniej nie legalnie. Na wszelki wypadek sprawdziła też IRS, to samo. UNSUB od pięciu lat nie płacił podatków. Nawet się nie zarejestrował.

No dobra, bierzmy się do dzieła. Wyprostowała się w fotelu, zamknęła strony rządowe i odpaliła nielegalne oprogramowanie, które zaprowadziło ją wprost do prywatnego świata bankowości. Uczciwie rzecz biorąc, nie powinna wykorzystywać go do tych celów, do jakichkolwiek celów. Nie spodziewała się jednak żadnych problemów. Oczekiwała natomiast wyników.

Jeśli UNSUB ma choćby jedno konto w jakimkolwiek banku w pięćdziesięciu stanach, znajdzie je – nawet skromny rachunek bieżący, nawet konto puste bądź porzucone. Wiedziała, że mnóstwo ludzi radzi sobie bez kont bankowych, miała jednak przeczucie, że UNSUB do nich nie należy. Nie ktoś, kto był majorem w armii amerykańskiej. Odznaczonym.

Dwukrotnie wprowadziła numer ubezpieczenia społecznego, raz w pole SSN i raz w pole identyfikacji podatkowej. Wpisała nazwisko i kliknęła „szukaj”.

• • •

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów dalej Jack Reacher zdrzął z zimna. Atlantic City w połowie listopada z całą pewnością nie należało do najcieplejszych miejsc na ziemi. Wiatr znad oceanu niósł dość soli, by wszystko wokół było wciąż wilgotne i lepkie. Kolejne ostre podmuchy unosiły w powietrze śmieci i chłostały nogi Reachera, który miał na sobie cienkie spodnie. Pięć dni temu był w Los Angeles i z każdą chwilą nabierał pewności, że powinien tam zostać. Ale skoro nie został, to lepiej, żeby jak najszybciej tam wrócił. Południowa Kalifornia w listopadzie to bardzo przyjemne miejsce. Powietrze było tam ciepłe, a wiatry łagodnie pieściły skórę, zamiast mrozić ją i atakować kolejnymi falami piekącej soli morskiej. Powinien wracać, a już z pewnością powinien się stąd wynieść.

Albo może powinien zostać, tak jak go poproszono, i kupić sobie kurtkę.

Przyjechał na wschód ze starą czarnoskórą kobietą i jej bratem. Łapał okazję w Los Angeles, bo miał ochotę odwiedzić pustynię Mojave. Staruszkowie zaprosili go do swojego sędziwego buicka roadmastera. Natychmiast zauważył wśród bagaży mikrofon, prymitywny sprzęt nagłaśniający i zapakowany w pudło keyboard Yamahy. Staruszka poinformowała go, że jest piosenkarką i jedzie na krótkie występy aż do Atlantic

City. Powiedziała też, że brat akompaniuje jej na keyboardzie i prowadzi samochód. Nie jest już jednak zbyt ciekawym rozmówcą, nie jest też zbyt dobrym kierowcą, a roadmaster nie jest zbyt dobrym samochodem. Istotnie, staruszek przez cały czas milczał, a przez zaledwie pierwszych dziesięć kilometrów kilka razy znaleźli się wszyscy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Aby się uspokoić, staruszka zaczęła śpiewać. Wystarczyło kilka pierwszych taktów *You Don't Love Me* Dawn Penn, by Reacher postanowił jechać z nią aż na wschód, byle tylko móc jeszcze posłuchać. Zaproponował, że usiądzie za kierownicą. Ona śpiewała dalej. Miała słodki zmysłowy głos, który już dawno powinien uczynić z niej bluesową supergwiazdę, tyle że zapewne zbyt wiele razy znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i dlatego nic z tego nie wyszło. W starym samochodzie nie działało wspomaganie kierownicy, spod maski wciąż dobiegały trzaski, łomoty i gruchotanie. Gdy doszli do siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, dźwięki te zamieniły się w coś w rodzaju sekcji rytmicznej. Słabe radio odbierało niekończącą się paradę kolejnych miejscowych stacji UKF zmieniających się co dwadzieścia minut. Staruszka śpiewała im do wtóru, stary mężczyzna milczał i przez większą część drogi spał na tylnym siedzeniu. Reacher przez trzy dni prowadził przez osiemnaście godzin na dobę i dotarł na New Jersey, czując się, jakby był na wakacjach.

Klub okazał się podrzędną ruderaś osiem przecznic od promenady. Kierownik nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu można by zaufać w sprawie dotrzymania warunków kontraktu, Reacher zajął się więc liczeniem klientów i sumowaniem na bieżąco pieniędzy, które powinny znaleźć się pod koniec tygodnia w kopercie. Robił to demonstracyjnie i widział, że kierownik z każdą chwilą coraz bardziej się wkurza. Wkrótce zaczął prowadzić krótkie tajemnicze rozmowy telefoniczne, zasłaniając dłonią słuchawkę. Cały czas wpatrywał się w twarz Reachera. Reacher odpowiadał spokojnym spojrzeniem

i lodowatym uśmiechem. Nie ustępował. W ciągu weekendu wysłuchał trzech koncertów, potem jednak znów ogarnął go niepokój. Poza tym było mu zimno, toteż w poniedziałkowy rano już miał zmienić zdanie i ruszyć w drogę, gdy stary klawiszowiec wyszedł za nim po śniadaniu i w końcu przerwał milczenie.

– Chciałbym poprosić, żebyś z nami został – rzekł. Wymówił to „chdziałbym”. W jego starych, pełnych bólu oczach roz błysła iskierka nadziei. Reacher nie odpowiedział.

– Jeśli nie zostaniesz, kierownik z pewnością nas oszuka – dodał staruszek. Zabrzmiało to tak, jakby oszukiwanie na honorariach było czymś naturalnym, co spotyka muzyków, tak jak dziurawe dętki czy przeziębienia. – Ale gdybyśmy dostali wszystko, mielibyśmy dość na benzynę, by dojechać do Nowego Jorku, może załatwić sobie występ u B.B. Kinga przy Times Square, wskrzesić naszą karierę. Ktoś taki jak ty mógłby tu wiele zdziałać, możesz mi wierzyć.

Reacher nadal nie odpowiadał.

– Oczywiście widzę, że się niepokoisz. Taki kierownik musi mieć na podorędziu kogoś nieprzyjemnego.

Reacher uśmiechnął się, słysząc to subtelne określenie.

– Kim ty właściwie jesteś? – spytał staruszek. – Jakimś bokserem?

– Nie – odparł Reacher – żadnym bokserem.

– Zapaśnikiem? – naciskał stary człowiek. – Takim jak w kablówce?

– Nie.

– Z pewnością jesteś silny. Wystarczająco silny, by nam pomóc, jeśli zechcesz. – Wymówił to „zechcesz”, nie miał przednich zębów.

Reacher nie odpowiedział.

– To kim właściwie jesteś? – powtórzył staruszek.

– Byłem żandarmem wojskowym – odparł Reacher. – Trzyście lat w wojsku.

– Odszedłeś?
– Coś w tym stylu.
– I nie mają dla was pracy?
– Nie taką, jaką bym chciał.
– Mieszkasz w LA?
– Nigdzie nie mieszkam. Podróżuję.
– My, wędrowcy, powinniśmy trzymać się razem – mruknął starszek. – To takie proste. Pomagać sobie nawzajem, wspierać się.

„Wzbiełać się”.

– Tu jest bardzo zimno – zauważył Reacher.
– Cholerna racja. Ale mógłbyś kupić sobie kurtkę.

Stał więc teraz na wietrznym rogu ulicy, wichura znad morza mroziła go do szpiku kości, a on musiał podjąć ostateczną decyzję. Sklep z ciuchami czy droga. Przez chwilę się rozmarzył: La Jolla, tani pokój, ciepłe wieczory, jasne gwiazdy, zimne piwo. A potem: stara kobieta w nowym klubie B.B. Kinga w Nowym Jorku, na widownię wpada akurat młody pracownik wytwórni, mający obsesję na punkcie brzmienia retro, podpisują kontrakt, kobieta nagrywa płytę, rusza w trasę koncertową, piszą o niej w „Rolling Stone”, zdobywa sławę, pieniądze, nowy dom. Nowy samochód.

Odwrócił się plecami do autostrady i skulony ruszył w porywach wiatru na wschód w poszukiwaniu sklepu z ubraniami.

• • •

W ten poniedziałek w Stanach Zjednoczonych działało prawie tysiąc dwieście licencjonowanych i ubezpieczonych w FDIC instytucji bankowych. W sumie prowadziły ponad miliard odrębnych rachunków, lecz tylko jeden z nich odpowiadał nazwisku i numerowi ubezpieczenia społecznego UNSUB. Był to zwykły rachunek bieżący w filii regionalnego banku w Arlington w stanie Wirginia. M.E. Froelich ze zdumieniem wpatrywała się w adres filii. To niecałe siedem kilometrów

stąd, pomyślała. Przepisała szczegóły na kartkę. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do starszego kolegi z drugiego końca organizacji. Poprosiła go, by skontaktował się z bankiem i wyciągnął z niego wszystkie możliwe szczegóły, zwłaszcza adres domowy. Błagała też, by działał jak najszybciej, ale bardzo dyskretnie. I całkowicie nieoficjalnie. Odłożyła słuchawkę. Teraz musiała czekać, zniecierpliwiona i sfrustrowana chwilowym brakiem zajęć. Problem polegał na tym, że drugi koniec organizacji mógł bez problemu zadać bankowi kilka dyskretnych pytań. Natomiast gdyby odezwała się do nich Froelich, uznano by to za bardzo, bardzo dziwne.

• • •

Trzy przecznice bliżej oceanu Reacher znalazł magazyn z przecenionymi ubraniami i szybko wcisnął się do środka. Wąskie pomieszczenie było długie na kilkadziesiąt metrów. Na suficie zamontowano niezliczone jarzeniówki, rzędy wieszaków ciągnęły się bez końca. Stwierdził, że po lewej wiszą stroje kobiece, pośrodku dziecięce, a po prawej męskie. Zaczął zatem od najdalszego kąta, wędrując w stronę kasy.

Bez wątplenia zgromadzono tu wszystkie dostępne na rynku rodzaje kurtek i płaszczy. Pierwsze dwa wieszaki wypełniały krótkie kurtki puchowe. Do niczego. Dobrze zapamiętał sobie sentencję, którą lubił powtarzać stary kumpel z wojska: „Dobra kurtka jest jak dobry prawnik, osłania ci tyłek”. Trzeci wieszak wyglądał bardziej obiecująco. Wisiały na nim rzędy długich do pół uda płóciennych kurtek w neutralnych barwach, z grubymi flanelowymi podpinkami. Może podpinki miały w sobie trochę wełny, może jeszcze co innego. Wydały się dość ciężkie.

– Mogę w czymś pomóc?

Odwrócił głowę i ujrzał młodą kobietę.

– Czy te kurtki nadają się na tutejszą pogodę?

– Są idealne – odparła. Z ożywieniem zaczęła opowiadać

mu o substancjach, którymi spryskano wierzchnią płócienną warstwę, by uczynić ją wodoodporną. Opowiedziała też o specjalnej podpince, zarzekając się, że pozwoli mu utrzymać ciepło nawet podczas mrozu. Reacher przesunął ręką po wieszaku i wybrał ciemnooliwkową XXL.

- W takim razie biorę tę.
- Nie chce pan przymierzyć?

Zawahał się chwilę, po czym włożył kurtkę. Pasowała całkiem niezłe – no, może nie do końca, może była nieco przyciąsna w ramionach i miała odrobinę za krótkie rękawy.

– Potrzebuje pan trzy-XLT – oznajmiła kobieta. – Ile pan ma, sto dwadzieścia?

- Sto dwadzieścia czego?
- Centymetrów. Obwód klatki.
- Nie mam pojęcia, nigdy się nie mierzyłem.
- Wzrost metr dziewięćdziesiąt dwa?
- Mniej więcej.
- Waga?

– Sto dziesięć kilo. Może sto piętnaście.

– Zdecydowanie potrzebuje pan rozmiaru na nietypowy wzrost. Proszę przymierzyć trzy-XLT.

Kurtka, którą mu wręczyła, miała tę samą ciemną barwę co XXL, ale pasowała znacznie lepiej. Była luźna. Reacher lubił luźne. I rękawy sięgały tam, gdzie trzeba.

– Chce pan też spodnie?! – zawołała kobieta. Stała teraz przy innym wieszaku i przeglądała ciężkie, płócienne, robocze spodnie, zerkając na jego pas i długie nogi. Po chwili przyniosła parę pasującą do jednego z kolorów flanelowej podpinki kurtki. – I proszę też zmierzyć koszulę – dodała. Przeskoczyła do kolejnego wieszaka, demonstrując całą tęczową gamę flanelowych koszul. – Pod spód wystarczy podkoszulek i zniesie pan każdą pogodę. Jakie kolory pan lubi?

- Coś niejaskrawego.

Wyłożyła wszystko na jednym z wieszaków. Kurtkę,

spodnie, koszulę, podkoszulek. Pasowały do siebie – brązy, khaki, oliwkowa zieleń.

- W porządku? – spytała radośnie.
- W porządku – odparł. – Macie tu też bieliznę?
- Tam – pokazała.

Zaczął grzebać w koszu z bokserkami drugiego gatunku. Wybrał białe, do tego bawełniane skarpetki w brązowo-zielone cętki.

- W porządku? – powtórzyła kobieta.

Reacher skinął głową. Zaprowadziła go do kasy z przodu sklepu i przesunęła pod czytnikiem wszystkie metki.

- Sto osiemdziesiąt dziewięć dolarów – oznajmiła.

Przez chwilę przyglądał się czerwonym cyferkom na wyświetlaczu kasy.

– Zdawało mi się, że to magazyn towarów przecenionych – powiedział.

- To naprawdę rozsądna cena – zapewniła.

Reacher pokręcił głową, sięgnął głęboko do kieszeni i wyciągnął zwitek podniszczonych banknotów. Odliczył sto dziewięćdziesiąt i dostał dolara reszty. W sumie dysponował obecnie czterema dolarami w gotówce.

• • •

Starszy kolega z drugiego krańca organizacji oddzwonił do Froelich po dwudziestu pięciu minutach.

– Masz adres domowy? – spytała go.
– Bulwar Waszyngtona sto. Arlington, Wirginia. Kod pocztowy dwadzieścia trzysta dziewięć – tysiąc pięćset.

Froelich to zapisała.

- W porządku, dzięki. To chyba wszystko, czego mi trzeba.
- Myślę, że trzeba ci czegoś więcej.
- Dlaczego?
- Znasz Bulwar Waszyngtona?

Froelich się zastanowiła.

- Biegnie aż do Memoriał Bridge, prawda?
- To tylko jezdnia.
- Żadnych budynków? Muszą tam być jakieś budynki.
- Owszem, jeden, za to duży. Kilkaset metrów z boku.
- Co takiego?
- Pentagon – wyjaśnił jej rozmówca. – To fałszywy adres, Froelich. Po jednej stronie Bulwaru Waszyngtona mieści się cmentarz Arlington, po drugiej Pentagon. To wszystko, nie ma nic więcej. Numer sto nie istnieje. Nie ma tam żadnych prywatnych adresów. Sprawdziłem na poczcie. A kod odpowiada departamentowi wojska w Pentagonie.
- No super – mruknęła Froelich. – Zawiadomiłeś bank?
- Oczywiście, że nie. Prosiłaś o dyskrecję.
- Dzięki. Ale wróciłam do punktu wyjścia.
- Może nie. To bardzo dziwny układ, Froelich. Sześciocyfrowe konto, ale wszystko na rachunku bieżącym, zero oprocentowania. A klient podejmuje gotówkę wyłącznie poprzez Western Union. Nigdy nie zjawia się osobiście, wszystko załatwia przez telefon. Dzwoni, podaje hasło, bank przesyła telegraficznie pieniądze do Western Union.
- Nie ma karty bankomatowej?
- Żadnych kart. Nigdy nie wydano też książeczki czekowej.
- Wyłącznie Western Union? Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym. Czy prowadzą jakieś rejestry?
- Geograficznie rzecz biorąc, podejmował gotówkę prawie wszędzie. Czterdzieści stanów w ciągu pięciu lat. Od czasu do czasu depozyt. Do tego mnóstwo niewielkich wypłat, wszystkie przesyłane do filii Western Union w najróżniejszych miastach, wszędzie.
- Dziwne.
- Tak jak powiedziałem.
- Możesz coś zrobić?
- Już zrobiłem. Zawiadomią mnie, kiedy odezwie się na-

stępnym razem.

- A ty dasz mi znać?
- Może.
- Wpłaty są regularne?
- Niespecjalnie. Ostatnio najdłuższa przerwa wynosiła kilka tygodni. Czasami to zaledwie kilka dni. Często w poniedziałki, w weekendy banki są zamknięte.
- Zatem może dziś mi się poszczęści.
- Może – odparł jej rozmówca. – Pytanie brzmi: czy mnie także?
- Nie aż tak – mruknęła Froelich.

• • •

Kierownik klubu patrzył, jak Reacher wchodzi do motelu. Potem przemknął na boczną wietrzną uliczkę i włączył telefon komórkowy. Osłaniając go dłonią, zaczął mówić cicho, z naciskiem, prosząco, lecz z szacunkiem, jak należy.

- Ponieważ wchodzi mi w drogę – rzekł, odpowiadając na pytanie.
- Dziś byłoby świetnie – rzucił, odpowiadając na inne.
- Przynajmniej dwóch – odpowiadając w końcu na ostatnie. – To duży facet.

• • •

Reacher rozmienił w recepcji jednego dolara na ćwiartki i ruszył w stronę budki. Z pamięci wybrał numer banku, podał hasło i poprosił o przesłanie pięciuset dolarów do filii Western Union w Atlantic City. Miały tam dotrzeć przed zamknięciem. Następnie wrócił do pokoju, odgryzł wszystkie metki i włożył nowe ubranie. Przełożył śmieci z kieszeni, wepchnął letnie ciuchy do kubła i przejrzał się w długim lustrze obok drzwi szafy. Wystarczyłaby broda i okulary przeciwsłoneczne, a mógłbym ruszyć pieszo aż na biegun północny, pomyślał.

• • •

Froelich dowiedziała się o przelewie jedenaście minut później. Na moment przymknęła oczy, z poczuciem triumfu zaciśnęła pięści, po czym sięgnęła na półkę za plecami i zdjęła z niej plan samochodowy Wschodniego Wybrzeża. Przy sprzyjającym ruchu trzy godziny. Może zdąży, pomyślała. Złapała kurtkę i torebkę i pobiegła do garażu.

• • •

Reacher zmarnował godzinę w pokoju, po czym wyszedł, żeby wypróbować nową kurtkę. Próba połowa, tak to nazywali w dawnych czasach. Ruszył na wschód, w stronę oceanu, pod wiatr. Po chwili bardziej poczuł, niż zobaczył kogoś za swoimi plecami. Charakterystyczny dreszczyk u dołu kręgosłupa. Zwolnił i zerknął w witrynę niczym w lustro. Dostrzegł ruch pięćdziesiąt metrów z tyłu. Za daleko, by wyłapać szczegóły.

Szedł dalej. Kurtka okazała się całkiem niezła, ale powinien kupić do niej czapkę. Ten sam kumpel, który zdradził mu swoje zdanie na temat kurtek, powtarzał też często, że połowę ciepła człowiek traci przez czubek głowy, i Reacher zdecydowanie tak się czuł. Zimny wiatr unosił mu włosy i sprawiał, że do oczu napływały łzy. Listopad na wybrzeżu Jersey wymagał czapki wojskowej. Reacher zapisał w pamięci, żeby w drodze powrotnej z filii Western Union poszukać sklepu z towarami z demobilu. Z doświadczenia wiedział, że zwykle mieszczą się w tych samych okolicach.

Dotarł do molo i ruszył na południe. Cały czas czuł lekkie swędzenie w krzyżu. Odwrócił się nagle, niczego jednak nie ujrzał. Pomaszerował z powrotem na północ. Solidne deski pod jego stopami poskrzypywały lekko. Po drodze dostrzegł znak informujący, że zrobiono je ze specjalnego drewna, najtwardszego drewna na świecie. Cały czas nie opuszczało go uczucie, że jest śledzony. Skręcił i poprowadził swoich niewidzialnych prześladowców na główne molo. Była to oryginalna

stara konstrukcja, doskonale zachowana i pusta. Nic dziwnego, zważywszy na pogodę. Brak ludzi podkreślał jeszcze aurę niezeczywistości otaczającą to miejsce. Zupełnie jakby nagle znalazł się na zdjęciu ze starego podręcznika architektury. Jednak kilka starych budek było otwartych i oferowało różne towary. W jednej sprzedawano zupełnie nowoczesną kawę w styropianowych kubkach. Reacher kupił dużą czarną. Kosztowała go resztę gotówki, lecz przynajmniej rozgrzała. Popijając gorący płyn, dotarł do końca moła, wrzucił pusty kubek do kosza i stał przez chwilę, wpatrując się w szary ocean. Następnie zawrócił na pięcie, skierował się w stronę brzegu i ujrzał idących w jego stronę dwóch mężczyzn.

Byli mocno zbudowani, niscy, lecz szerocy w ramionach. Ubrani niemal identycznie w niebieskie marynarskie kurtki i szare drelichowe spodnie. Obaj mieli na głowach czapki – małe, szare, wełniane czapki, wciśnięte na okrągłe czaszki. Niewątpliwie doskonale wiedzieli, jak się ubrać na taką pogodę. Ręce trzymali w kieszeniach, toteż nie mógł stwierdzić, czy włożyli też rękawiczki. Ponieważ kieszenie w kurtkach były dość wysoko, ich łokcie sterczały na boki. Na nogach mieli ciężkie wysokie buty z rodzaju tych, jakie mogliby założyć robotnicy pracujący na rusztowaniach bądź w porcie. Albo mieli krzywe nogi, albo też próbowali przybrać groźną postawę. Nad ich brwiami Reacher dostrzegł jasne blizny. Mężczyźni wyglądali jak para wykidajłów z wesołego miasteczka albo nadzorców portowych sprzed pół wieku. Zerknął za siebie, nie dostrzegł nikogo. Droga wolna aż do Irlandii. Więc po prostu przystanął. Nie zadał sobie nawet tyle trudu, by oprzeć się o poręcz.

Mężczyźni zatrzymali się dwa metry przed nim. Reacher rozprostował lekko palce, sprawdzając, jak bardzo zmarzły. Dwa metry to ciekawa odległość. Oznaczała, że zanim cokolwiek zrobią, chcą porozmawiać. Poruszył palcami u stóp i kolejno napiął mięśnie łydek, ud, pleców, ramion. Przekrzywił

głowę z boku na bok, potem odchylił nieco w tył, by rozluźnić mięśnie karku. Odetchnął przez nos. Wiatr wiał mu w plecy. Mężczyzna po lewej wyjął ręce z kieszeni. Nie miał rękawiczek. Natomiast albo cierpiał na paskudny artretyzm, albo też trzymał w dłoniach rulony ćwierćdolarówek.

– Mamy dla ciebie wiadomość – oznajmił.

Reacher zerknął na poręcz i dalej na ocean. Morze było szare i wzburzone, temperatura bliska zera. Gdyby ich tam wrzucił, praktycznie równałoby się to zabójstwu.

– Od kierownika klubu? – spytał.

– Owszem, od jego ludzi.

– To on ma ludzi?

– To Atlantic City – powiedział tamten. – Logiczne, że musi mieć ludzi.

Reacher skinął głową.

– Niech zgadnę. Mam się wynieść z miasta. Zjeżdżać, spadać, znikać, nigdy nie wracać. Nigdy więcej nie przestąpić waszego progu, zapomnieć, że kiedykolwiek tu byłem.

– Nieźle ci idzie.

– Umieć czytać w myślach. Kiedyś pracowałem w luna parku. Miałem własny namiot tuż obok kobiety z brodą. Wy tam nie dorabialiście? Trzy minuty dalej? Najbrzydsze bliźniaki świata?

Mężczyzna po prawej wyjął ręce z kieszeni. Cierpiał na to samo schorzenie dłoni albo też ukrywał w nich rulony ćwierćdolarówek. Reacher się uśmiechnął. Lubił rulony ćwierćdolarówek. Porządna, staroświecka technika. Sugerowała, że mężczyźni nie mają broni palnej. Nikt nie sięga po rulon monet, jeśli trzyma w kieszeni spluwę.

– Nie chcemy ci zrobić krzywdy – oznajmił gość po prawej.

– Ale musisz stąd zniknąć – dodał ten z lewej. – Nie lubimy, kiedy obcy ingerują w gospodarkę naszego miasta.

– Wybierz zatem łatwiejsze wyjście – poradził ten z pra-

wej. – Odprowadzimy cię na dworzec autobusowy albo starym też stanie się krzywda, i to nie tylko finansowa.

Reacher usłyszał w głowie absurdalny głos pochodzący z zamierzchłego dzieciństwa. Głos matki, mówiącej: „Proszę, nie bij się w nowym ubraniu”. W jego umyśle odezwał się wojskowy instruktor walki wręcz: „Uderz szybko, uderz mocno i bardzo boleśnie”. Napiął ramiona pod kurtką. Nagle poczuł głęboką wdzięczność dla kobiety w sklepie za to, że przekonała go, by wziął większy rozmiar. Spojrzał na intruzów. Jego wzrok wyrażał jedynie lekkie rozbawienie i niezłomną pewność siebie. Przesunął się nieco w lewo, a oni obrócili się wraz z nim. Podszedł odrobinę bliżej, zacieśniając trójkąt. Uniósł rękę i przyglądał potargane przez wiatr włosy.

– Lepiej, żebyście już poszli – powiedział.

Nie zrobili tego, dokładnie tak jak przewidywał. Zareagowali na wyzwanie, odrobinę zmniejszając dystans. Zaledwie drobny ruch, napięcie mięśni, przenoszące środek ciężkości ciała do przodu. Muszę ich załatwić na tydzień, pomyślał. Najlepiej kości policzkowe. Ostre uderzenie, złamanie kości, może chwilowa utrata przytomności, mocny ból głowy. Nic wielkiego. Zaczekał na kolejny poryw wiatru, uniósł prawą rękę i znów zgarnął włosy za lewe ucho. Zastygł, nie opuszczając ręki, z uniesionym łokciem, jakby nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Umiecie pływać? – spytał.

Trzeba nadludzkiego opanowania, by na takie słowa nie zerknąć na ocean. Obaj mężczyźni nie byli nadludźmi. Niczym roboty odwrócili głowy. Reacher rąbnął łokciem w twarz mężczyznę z prawej. Znów uniósł łokieć i uderzył tego z lewej, gdy tamten odwrócił się gwałtownie, słysząc trzask pękających kości towarzysza. Jednocześnie wylądowali na deskach. Rulony ćwierćdolarówek pękły i wokół posypały się monety. Przez chwilę tańczyły na deskach, kręcąc srebrzyste piruety, zderzając się i opadając, orły i reszki. Reacher zaka-

słał, zakrztusił się mroźnym powietrzem. Stojąc bez ruchu, odtworzył w myślach całą scenę. Dwóch facetów, dwie sekundy, dwa ciosy, gra skończona. Wciąż jestem niezły, pomyślał. Odetchnął głęboko, otarł z czoła zimny pot, po czym ruszył naprzód. Zeskoczył z mola na nabrzeże i poszedł szukać filii Western Union.

• • •

Wcześniej sprawdził adres w motelowej książce telefonicznej, ale tak naprawdę go nie potrzebował. Filię Western Union można znaleźć na wycucie, wyłącznie dzięki intuicji. Algorytm był prosty: stajesz na rogu ulicy i pytasz samego siebie, czy należy skręcić w lewo, czy w prawo. Potem znowu i wkrótce znajdujesz się we właściwej okolicy. Tuż przed bankiem przy hydrancie parkował dwuletni chevy suburban, czarny, z przyciemnianymi szybami, idealnie czysty i błyszczący. Z dachu sterczały trzy krótkie anteny radiowe. Za kierownicą siedziała samotna kobieta. Zerknął na nią przelotnie, po czym przyjrzał jej się uważniej. Miała jasne włosy, wydawała się jednocześnie odprężona i czujna. Rozpoznał coś znajomego w sposobie, w jaki oparła rękę na oknie. Bez wątpienia była też ładna. Miała w sobie ten szczególny magnetyzm. Odwrócił wzrok, wszedł do środka i odebrał gotówkę. Zwinął banknoty, wsunął do kieszeni, wyszedł i ujrzał kobietę czekającą na chodniku. Patrzyła wprost na niego, na jego twarz, jakby porównywała ją z przechowywanym w myślach obrazem. Natychmiast poznał ten proces. Oglądał go już parę razy wcześniej.

– Jack Reacher? – spytała.

Raz jeszcze pogrzebał w pamięci, bo nie chciał się pomylić, choć nie sądził, by było to możliwe. Krótkie jasne włosy, piękne oczy patrzące wprost na niego, cicha pewność siebie w postawie i zachowaniu. Z pewnością by ją zapamiętał. Ale nie zapamiętał. Czyli nigdy wcześniej jej nie widział.

– Znałaś mojego brata – rzekł.

To stwierdzenie wyraźnie ją zdumiało. Sprawilo jej też przyjemność. Na moment jakby zabrakło jej słów.

– To widać – dodał. – Kiedy ludzie tak na mnie patrzą, myślą zwykle o tym, jak bardzo byliśmy podobni, a jednocześnie, jak się różniliśmy.

Milczała.

– Miło było cię poznać – dodał i ruszył naprzód.

– Zaczekaj! – zawołała.

Odwrócił się.

– Możemy porozmawiać? Szukałam cię.

Skinął głową.

– Możemy pomówić w wozie. Zaczynam zamarzać.

Przez sekundę nie odpowiadała. Uważnie wpatrywała się w jego twarz. Potem poruszyła się nagle, otwierając drzwi od strony pasażera.

– Proszę – rzekła.

Wsiadł do środka, a ona okrążyła samochód i zajęła swoje miejsce. Uruchomiła silnik, by zadziałało ogrzewanie. Nie ruszyła z miejsca.

– Bardzo dobrze znałam twojego brata – powiedziała. – Spotykaliśmy się z Joem, bardziej niż spotykaliśmy. Byliśmy prawie zaręczeni, przed jego śmiercią.

Reacher nie odpowiedział. Kobieta się zarumieniła.

– No, oczywiście przed jego śmiercią – dodała. – Głupio to zabrzmiało.

Umilkła.

– Kiedy? – spytał Reacher.

– Byliśmy razem dwa lata. Zerwaliśmy rok przed.

Reacher pokiwał głową.

– Jestem M.E. Froelich – dodała.

W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie: czy kiedykolwiek o mnie wspominał? Reacher znów skinął głową, starając się sprawiać wrażenie, jakby nazwisko zabrzmiało

znajomo. Ale nie. Nigdy o tobie nie słyszałem. Ale chyba żałuję.

– Emmy? – spytał. – Jak nagrody telewizyjne?

– M.E. – wyjaśniła. – Używam inicjałów.

– Co oznaczają?

– Tego ci nie powiem.

Wahał się przez chwilę.

– Jak cię nazywał Joe?

– Froelich – wyjaśniła.

– Tak, to do niego podobne.

– Wciąż za nim tęsknię.

– Ja chyba też – wyznał Reacher. – Chodzi więc o Joego czy o coś innego?

Milczała przez sekundę, potem otrząsnęła się lekko, niemal niedostrzegalnie, i znów zaczęła mówić rzeczowo.

– O jedno i drugie. No, głównie o to drugie.

– Powiesz mi, o co dokładnie?

– Chcę cię do czegoś zatrudnić. W ramach pośmiertnej rekomendacji Joego, z powodu tego, co mi o tobie opowiadał. Od czasu do czasu o tobie mówił.

– Zatrudnić do czego?

Froelich uśmiechnęła się nieśmiało.

– Przecwiczyłam ten tekst – przyznała. – Kilka razy.

– Niech go więc usłyszę.

– Chcę cię zatrudnić do zabicia wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.